



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Teresa Kozanowska

Mój dom – Łomżyńska 31

Zastanawiałam się, jak powinnam te wspomnienia napisać. Czy zastosować moją obecną wiedzę na temat wojny czy po prostu opisać tak, jak widziałam to wówczas oczami dziecka. Wybrałam to drugie. Jeśli zatem pojawią się jakieś dziwne sformułowania, to nie będzie to infantyizm, ale prawdziwe odczucie dziecka.

Wiem, że jest mnóstwo osób mających za sobą tragiczne koleje wojennych losów. Chylę przed Nimi czoła. Moje przeżycia są takie, jakich doświadczały miliony dzieci polskich.

Pisząc te wspomnienia żałuję, że muszę je zamknąć razem z końcem wojny. Dużo ciekawsze, choć równie ponure, były moje powojenne lata. Przed młodzieżą, która pochodziła z polskich, patriotycznych domów, wrota uczelni w latach pięćdziesiątych były praktycznie zamknięte. Wiedza kandydata była zupełnie bez znaczenia. Przeżyłam to na własnej skórze na Uniwersytecie Warszawskim. Według mnie to były moralne morderstwa. Ale to już zupełnie inny temat.

Drylowaliśmy właśnie z mamą wiśnie, kiedy przyjechała Ciozia Zosia i powiedziała, że Hitler wypowiedział wojnę Polsce. Obydwie panie były bardzo przejęte. Początkowo nie zwracałam na to uwagi, był to dla mnie pusty dźwięk. Dopiero, gdy usłyszałam, że znów wezmą nas do niewoli – rozplakałam się. Wyobraziłam sobie, że wywożą nas wszystkich gdzieś daleko, może do Afryki, której się panicznie bałam, niewiele o niej wiedząc. Mama wytłumaczyła mi, że jeśli Niemcy wygrają, to przyjdą do Polski i to będzie niewola, okupacja. Zupełnie mnie to uspokoiło.

Do myśli, że będzie wojna, już się przyzwyczaiłam. Nie wiedziałam co to jest, ale wszystkie dzieci kopały razem z moim tatą, jednym z komendantów OPL, rowy przeciwlotnicze koło domu. Traktowaliśmy to jak zabawę. Do tego, że mama robi zapasy, również się przyzwyczaiłam. Różne wiktuały stały na półkach w piwnicy.

Nie miałam jeszcze dziewięciu lat. Mieszkaliśmy wówczas na Pradze, na ulicy Łomżyńskiej, tuż obok wału kolejowego. Dom był nowo wybudowany, ale mieszkanie ciasne dla naszej pięcioosobowej rodziny. Przeprowadziliśmy się tu w 1939 roku, przejściowo, do czasu znalezienia lepszego mieszkania. I tu właśnie zastała nas wojna. Mieszkałam z rodzicami i dwiema siostrami – o pięć lat starszą Lucynką i o dwa lata młodszą Wiesią. Chodziłam do drugiej klasy szkoły powszechnej przy ulicy Otwockiej. Właśnie w maju 1939 roku przystępowałam do Pierwszej Komunii Świętej w Bazylice Serca Jezusowego na Kawęczyńskiej. Jestem taką urodzoną, wychowaną prażanką.

Niestety, już od pierwszych dni wojny musiałam przekonać się, że jest to sprawa poważna. Jedna z pierwszych bomb we wrześniu spadła blisko nas, przy ulicy Wołomińskiej. Dla Niemców widocznym celem strategicznym był między innymi ten nasz wał kolejowy. Ten nasz kochany wał, który kojarzył się

z najlepszą zabawą. Zimą ze zjeżdżaniem na sankach, a latem ze zbieganiem z góry na dół. Rodzice byli zaniepokojeni, bowiem nasz dom, jako nowoczesny, był według Nich jak pudełko od zapalek, które przy lada podmuchu się przewróci.

7 września zawieźli nas, dwie małe, do Wujka Edwarda na ulicę Mazowiecką 8. Dom był stary, składał się z czterech oficyn, mury były bardzo grube i solidne. Rodzice uważali, że tu jesteśmy bezpieczni. Ten czas, spędzony u Wujka, wspominam bardzo przyjemnie. Andrzej, jego syn, miał wówczas trzy lata. Mieszkanie było na najwyższym piętrze, trochę dziwne, mające kilka pomieszczeń. Świetnie się tam bawiliśmy. Tylko przed zaśnięciem Jędrak ciągle domagał się, żebym Mu opowiadała bajki. Miał wielką fantazję i za każdym razem chciał słuchać nowej bajki, inaczej krzyczał. Czego ja dla niego nie zmyślałam!

Wujek był głuchoniemy. W mieszkaniu jego mieszkała też siostra Cioci, również głuchoniema. Zazdrościłam im nieraz obserwując jacy są spokojni, kiedy wyły syreny na alarm lub nawet, gdy padały bomby i pociski. Oni po prostu nie słyszeli i dopiero po nerwowym zachowaniu Cioci, która szycowała nas i zabierała na dół do schronu orientowali się, że coś złego się dzieje.

Wujek miał w swoim pokoju taką małpkę, która się mocno kiwała, kiedy ktoś dzwonił do drzwi. Bardzo mi się to podobało. Poza tym wraz ze wszystkimi dziećmi tego domu bawiliśmy się na tym obszernym podwórku. Warszawa wówczas broniła się. Przed bramami na ulicach stały kobiety z naczyniami napełnionymi przegotowaną wodą, którą podawały zmęczonym, broniącym stolicy żołnierzom. Pamiętam entuzjazm, kiedy żołnierz stojący na ulicy, naprzeciwko naszej bramy, strzelił do samolotu niemieckiego lecącego bardzo nisko. Za chwilę zobaczyliśmy smugę dymu i spadającą maszynę. Bardzo możliwe, że w tym czasie trafił go pocisk artyleryjski, ale my wszyscy wiwatowaliśmy na cześć tego żołnierza, przekonani, że to jego wyczyn. Rodzice, którzy ze starszą siostrą Lucynką pozostali w naszym domu na Pradze, nie wytrzymali zmasowanych nalotów i wraz z innymi mieszkańcami tego domu uciekli pieszo w stronę Mińska Mazowieckiego, skąd zresztą wkrótce wrócili.

Właśnie tam, w Mińsku, taki blaszany kubełek z masłem, zabrany z domu, uratował życie mojego taty. Samoloty niemieckie latały nisko, bombardując i strzelając do uciekających. Wszyscy ukryli się w rowach. Tata postawił koło głowy ten blaszany kubeleczek, który niósł. Po nalocie okazało się, że w kubełek trafił duży odłamek i zatrzymał się w maśle, oszczędzając głowę.

Rodzice jakoś zdecydowanie nie mieli zaufania do naszego domu. Po powrocie z ucieczki odebrali nas od Wujka i wszyscy razem, aż do kapitulacji Warszawy, przebywaliśmy u Cioci Anieli na ul. Smoczej. Ciocia mieszkała na wyższym piętrze, ale my całe dni spędzaliśmy w takim bardzo obszernym mieszkaniu na parterze. Zresztą nie tylko my. Było tam bardzo dużo osób. Przypominam sobie, że niektóre nawet spały w wannie.

Młodzi ludzie, w tym moja Lucynka, gros czasu spędzali na strychach. Starali się natychmiast gasić rzucane z samolotów bomby zapalające. Wskutek bombardowań i ostrzału artyleryjskiego runęło i spłonęło wówczas wiele kamienic. Ja jednak, jeśli tylko mogłam to kręciłam się przy Cioci, na górze.

W maju 1939 roku Cioci synowi urodziła się córeczka. Oleńka była malutka i śliczna jak laleczka. Ogromnie lubiłam się z nią bawić. Wozilałam ją w wózekczku i usypiałam.

Wreszcie zaczął nam dokuczać głód. Mama z ciocią pod niemieckim obstrzałem wybrały się na Pragę do naszego domu z nadzieją, że może zastaną tam coś z zapasów robionych przed wojną. Przy okazji mama przeżyła bardzo radosne spotkanie. Kiedy rodzice uciekali z domu, to nasz ukochany pies Reks pobiegł za Nimi tylko do wału. Wołali go, ale nie chciał przyjść. Został w mieszkaniu i przeżył tylko dlatego, że umiał sobie otwierać kran z wodą (nie umiał zamknąć, ale to nie było ważne) i zjadł wszystko, co zostało wystawione na stół w czasie przerwanej bombardowaniem śniadania. Czasy były na tyle niespokojne, że na stół stawiano się wszystko w takich opakowaniach, żeby w razie potrzeby łatwo było zebrać. Właśnie tam został między innymi taki pięciokilowy kubełek z cukrem. Było też jakieś opakowanie masła, chleb i naleśniki. Pies zjadł tylko to, co zostało i nie wpuścił nikogo. Kiedy mama z ciocią szły do mieszkania, żołnierze, którzy w naszym domu urządzili sobie fortece (we wszystkich oknach, z wyjątkiem naszych, były worki z piaskiem) ostrzegali, żeby do tego nie wchodziły, bo tam jest wściekły pies. Mama, przez drzwi zawołała cichutko Reksa. Pies tak skakał na drzwi, tak radośnie piszczał, że zdecydowała się wejść. Stały potem z ciocią kilka minut pod ścianą, bo nie mogły poradzić sobie z jego radosnym powitaniem. Był to pies duży i dla obcych rzeczywiście groźny, ale my wszyscy bardzo go kochaliśmy. Był u nas od maleńkiego szczeniaka, kiedy jeszcze nie widział na oczy.

Wszystko, co dla bezpieczeństwa zostało wyniesione do piwnicy naturalnie zginęło, łącznie z zapasami żywności. To co zostało w mieszkaniu było nietknięte. Niestety, tych rzeczy mama nie mogła ze sobą wziąć. Jakieś niewielkie ilości jedzenia, które jeszcze były w szafkach, zostawiła sąsiadowi, żeby cokolwiek dawał codziennie psu. Nie mogła przecież Reksa zabrać i prowadzić taki kawał drogi, wśród bomb i pocisków. Mama wróciła bez jedzenia, ale bardzo szczęśliwa. Nas tak uradowała ta wiadomość, że prawie zapomnieliśmy o tej strasznej wojnie.

Pod koniec września nastąpiły dni wielkiej grozy dla oblężonej Warszawy. Tysiące bomb i pocisków eksplodowało w tyłu gęsto zabudowanych dzielnicach. Artyleria niemiecka prowadziła ostrzał pociskami rozpryskowymi i szrapnelami. W nocy było widno od pożarów.

27 września zaskoczyła nas zupełna cisza. Po kilku godzinach ludzie zaczęli wychodzić na ulicę. Panowała jakaś niepewność. Nie wiadomo było czy się cieszyć czy całkiem odwrotnie. Ja się cieszyłam, że było tak spokojnie. Myślałam, że wojna się skończyła. Nazajutrz po południu, po raz drugi w życiu i ostatni, zobaczyłam swego ojca płaczącego. Pierwszy raz to było, kiedy umarł Marszałek Józef Piłsudski, a dziś, kiedy dowiedział się, że została podpisana umowa o kapitulacji Warszawy. Był to dla Niego cios. Dopóki na miasto spadały bomby i pociski, dopóki żołnierze bronili się, czuło się nieugięty opór. Teraz ujrzał widmo klęski. Przegraną Jego ukochanej ojczyzny, za którą stracił zdrowie już w poprzedniej wojnie.

Tłumy ludzi na ulicach szły w różnych kierunkach. Dogasały pożary. Dopiero teraz można było zobaczyć ogromnisze zniszczeń. Na domach poprzyklejane i poprzypinane były kartki. Ludzie poszukiwali najbliższych. My również wracaliśmy do domu. Panowało ogólne przygnębienie. Próbowałam cieszyć się rychłym spotkaniem z Reksiem. Niestety nie zastaliśmy go już. Nieuczciwy sąsiad nie karmił go. Pies, według relacji świadków, był całymi dniami i żołnierze go w końcu zastrzelili. To była prawdziwa rozpacz.

Generalnie cały okres wojny kojarzy mi się z niedostatkiem jedzenia, nie mówiąc już o prawdziwym głodzie, panującym w niektórych okresach, zwłaszcza w czasie Powstania. Mój ojciec zupełnie nie był przygotowany do zapewnienia utrzymania rodzinie w warunkach jakie nastąpiły. Był inwalidą wojennym. W 1920 roku w obronie Lwowa stracił nogę, a w 1926 roku był ranny w głowę i nie widział na oko.

Polska przedwojenna bardzo dbała o swoich obrońców. Tata miał wysoką rentę inwalidzką i posiadał jeszcze koncesję monopolową, z której miał duży dochód. Uczciwy był materialny mieliśmy zatem zapewniony i ojciec mógł się honorowo udzielać w Związku Inwalidów Wojennych. Mimo dużej utraty zdrowia nawet nie wszyscy znajomi wiedzieli, że jest inwalidą. Nogi nie miał do połowy łydki. Zatem własne kolano i bardzo dobra proteza sprawiły, że chodził dobrze. Ten drugi postrzał był bardzo groźny, w głowę. Kula przerwała nerw oczny i wyszła 5 centymetrów od mózgu, ale tego nie było widać w ogóle. Oko miał swoje, poruszał nim normalnie, tylko na nie nie widział.

Ojciec był bardzo przystojnym, eleganckim mężczyzną, który chodził z laseczką. Nawet tańczył. I co miał teraz zrobić ten mój biedny tata, który nie miał żadnego zawodu, bo od osiemnastego roku życia, jako ochotnik, służył w legionach? Później żadną pracą zawodową nie musiał się zajmować. On tylko umiał kochać i bronić ojczyznę. Polska była dla Niego największą wartością. Tak byłam wychowana. Ważny był patriotyzm i kult Marszałka. Cały ciężar utrzymania rodziny spadł zatem na mamę. Czego Ona nie robiła, żeby nas utrzymać. Pamiętam, że nawet żelowała nam buty. Głównie jednak, w pierwszym okresie, żyliśmy chyba z wyprzedaży tego, co było w domu do sprzedania możliwe. Potem już tata dostawał rentę, a jeszcze później otrzymał koncesję na wyroby tytoniowe. Prowadził sprzedaż gazet i papierosów w budce na rogu Konopczyńskiego i Kopernika. Jednak dochody były bardzo skromne. My byliśmy za małe, żeby Rodzicom pomagać.

Wkrótce po zajęciu Warszawy przez Niemców nastąpił zbiorowy mord mężczyzn w Wawrze. Mieszkańców Pragi ogarnęła ogromna panika. Ludzie usiłowali gdzieś uciekać, gdzieś schronić się przed okupantem, choć nikt nie wiedział, gdzie by to mogło być. Pamiętam ten ciemny, bardzo zimny wieczór. Mama w pośpiechu ubierała nas. Nakładała nam szaliki, czapki. Spieszyła się bardzo. Tata natomiast jeszcze siedział przy lustrze i poprawiał sobie krawat. Nie była to z Jego strony opieszałość czy ignorancja. Po prostu nie mógł, nawet w takiej ekstremalnej sytuacji, pokonać wyróżniającej Go cechy pedantyzmu. Zakrawało to na kpiny. Całe tłumy ludzi uciekały przez mosty na lewą stronę Wisły. Nasz tata, niestety, po wszystkich uciążliwościach wrześniowych, miał tak obtartą tę swoją nogę, że z ledwością szedł. Tak Go uwierała proteza. Kiedy znaleźliśmy się na ulicy Targowej, prawie niesieni przez tłum, zrezygnowaliśmy z dalszej ucieczki. Poszliśmy tylko do Wujka Zygmunta, na Zamoyskiego, do domu E. Wedla. Tam przesiedzieliśmy wraz z wujostwem i Ich córką Irką całą noc. Na szczęście nic złego nie zdarzyło się i wróciliśmy znów do domu.

Wymieniam tu już trzecią naszą „wizytę” u rodziny. Tak, moja mama, urodzona warszawianka, miała sześcioro rodzeństwa, z których pięcioro mieszkało w Warszawie – trzech braci i dwie siostry. Tata miał rodzinę w Łodzi.

Powoli jakoś zaczęliśmy sobie układać to nasze smutne życie w radykalnie zmienionych warunkach. Nasza szkoła nr 130 przeniesiona została do starego domu przy ul. Kawęczyńskiej. Nowa, piękna szkoła przy ulicy Otwockiej, została zajęta przez Niemców. Zawsze lubiłam się uczyć i pewnie dlatego „zaliczyłam” aż trzy szkoły powszechne. W 1937 roku poszłam do pierwszej klasy przy ulicy Szerokiej, jako że mieszkaliśmy wtedy na Zamoyskiego. Pod koniec tego roku przeprowadziliśmy się na ulicę Łochowską 52. Dom był bardzo piękny, mieszkanie tudzież, ale otoczenie – nie daj Boże. Balkon nasz wychodził prościutko na przybytek, który należał do następnego, starego, narożnego domu. Był to balkon na pierwszym piętrze, wobec czego efekt był taki, że nie można było wyjść na balkon, ani trzy-

mać nic w szafce podokiennej, bo potem nie nadawało się do jedzenia. I właśnie wtedy tata tymczasowo wynajął mieszkanie na Łomżyńskiej, w którym niestety zostaliśmy już na długie lata. Z powodu tych przeprowadzek naukę w szkole przy ulicy Otwockiej rozpoczęłam w 1938 roku, ale już od drugiej klasy. Od początku wojny z powodu naszych wędrówek miałam przerwę w nauce. Poszłam do szkoły dopiero w 1940 roku, ale już do klasy czwartej. Na szczęście lat nie traciłam.

Pamiętam nasze lekcje historii. Nie było książek do tego przedmiotu. Przynosili je z domu uczniowie, którzy mieli starsze rodzeństwo. Uczyliśmy się historii potajemnie, a kiedy przypadkiem przyjechała inspekcja, to wszystkie podręczniki leciały do schowka za piecem. Nam, uczniom, nawet się to bardzo podobało. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, czym ryzykują nauczyciele.

Smutne były nasze wakacje. Niestety nie miałyśmy absolutnie żadnej rodziny na wsi. Nigdzie nie wyjeżdżałyśmy. W wakacje 1942 roku Ciocia załatwiła nam przez Związek Nauczycielstwa Polskiego takie dziwne kolonie. Zawieźli nas na podkielecką wieś i tam gospodarze brali dzieci, które przez miesiąc miały u nich przebywać. Nie zapomnę tego, jak wsadzili nas na wóz i wieźli przez całą wieś. Ja byłam w tym czasie duża jak na swój wiek, ale wiotka jak trzcinka. Był straszny upał. Włożyłam na głowę taki letni kapelusik. Wystawałam z tego wozu i najczęściej łapali się za mnie. Słyszałam tylko: „ty w kapeluszu, ty w kapeluszu”. Uchylałam się na różne strony, bo nie chciałam rozstać się z moją młodszą siostrą Wiesiunią. Wreszcie jednak „wyciągnął” mnie bardzo miły pan, jak się potem okazało najbogatszy gospodarz tej wsi. Kiedy się dowiedział, że jesteśmy siostrami, chciał wziąć obydwie, ale Wiesię w ostatnim momencie złapał sołtys, bo zanim się zorientował, to już dla niego by nie starczyło dziecka. Gospodarz, który wziął mnie, tłumaczył mi, że nie można rozdzielać siostr, ale on się zaparł. Nic to zresztą nie pomogło. Moja kochana siostrzyczka tak płakała, że sam ją do mnie przyprowadził. Byłyśmy zatem razem i było nam bardzo dobrze.

Nasi gospodarze, państwo Więclawkowie, mieli tylko dwudziestoletniego syna. Nas naprawdę traktowali jak córki. My zresztą starałyśmy się pomagać im we wszystkim. Ta nasza pomoc na pewno nie była efektywna, ale liczyła się chęć. Przede wszystkim to ich rozśmieszałyśmy. Dałyśmy imiona wszystkim krowom, chodziliśmy z nimi na pastwisko i często jeździliśmy na nich. Zamiast lalek miałyśmy psa i kota. Ubierałyśmy te stworzonka w jakieś szmatki i nosiłyśmy na rękach. Byczek, który się przy nas urodził, wchodził za nami nawet do mieszkania i jadł chleb ze stołu. Gospodarze ci eksperymentalnie prowadzili plantację tytoniu. My naprawdę poważnie się tym tytoniem zajmowałyśmy. Zrywałyśmy liście, a potem w specjalnej suszarni nawlekaliśmy na druty i wieszałyśmy. Była to już wymierna pomoc, która nam sprawiała wiele radości. Schodziły się do nas dzieci z całej wsi. Nawlekaly te liście razem z nami, a my im mówiłyśmy wiersze, śpiewałyśmy piosenki, uczyłyśmy ich tańczyć.

W każdą niedzielę po obiedzie pan Więclawek wyciągał swoją harmonię i przygrywał nam do tańca. Było całe mieszkanie dzieci, a myśmy miały co najmniej po jednym narzeczonym. Józek, syn gospodarzy, również traktował nas jak siostry, wobec czego robił nam ciągle jakieś psikusy.

W sadzie był taki mały stawik. My często brałyśmy te swoje „lalki” – psa i kota – i siadałyśmy sobie koło tej wody. Przybiegł kiedyś Józek i zapytał: „A co te wasze dzieci takie brudne?” – i capnął je nam. Najpierw psa wrzucił do wody, potem kota i jeszcze nawinęła mu się kura, którą również wrzucił. My w krzyk, a to „towarzystwo” pięknie przepłynęło sobie na drugi brzeg. Tylko im łebki było widać. Jak tylko coś takiego zrobił, to zawsze mama go łajała. Do tej pory pamiętam jak mu mówiła – „Józciu, Józciu, nie dokuczaj dziewczynkom”.

Były jednak chwile, kiedy Józio traktował nas poważnie. W pobliskich lasach była partyzantka – „Jędrusie”. Co dwa-trzy dni chodziliśmy z grupką dzieci ze wsi do lasu, niby na grzyby. Niemcy w ogóle nie zwracali na nas uwagi, a my w tych koszykach nosiłyśmy żywność dla Jędrusiów. Mieliśmy umówione miejsce, w którym od nas tę żywność odbierali. Dawali nam czasem jakieś kartki z poleceniami, które oddawaliśmy Józkowi. Nas to wtedy bawiło, a dla młodych ludzi z tej wsi, których zawsze kilkunastu spało z Józkiem w stodole, było to ważne. Zresztą do nich Jędrusie też czasem przychodzili.

Wszystkie dzieci z Warszawy odjechały po miesiącu, a my zostałyśmy do końca wakacji. Po powrocie do Warszawy cały czas utrzymywałyśmy korespondencję. Na drugi rok pojechałyśmy już do nich na całe wakacje, a potem z żalem wracałyśmy do domu. Zostaliśmy wielkimi przyjaciółmi, prawie rodziną. To były jakieś jaśniejsze punkty okupacyjnych dziejów.

W Warszawie było coraz gorzej. Z naszego okna widać było pętlę tramwajową koło wiaduktu przy ulicy Radzymińskiej. Pamiętam jak w roku 1942 podjechały tam duże samochody – „budy”. Wskoczyli z nich Niemcy z karabinami. Rozpędzili wszystkich ludzi. Nie wolno było dojść do okna, bo strzelali. Wiadomo było już, że będzie egzekucja. My siedziałyśmy wszystkie skulone, płacząc i zatykając sobie uszy, a tata stał zasłonięty trochę firanką i z bezsilności uderzał pięścią w ścianę. Kiedy tylko Niemcy odjechali, ludzie, nie zwracając w ogóle uwagi, że na wale stoją bahnschutze, pobiegli w to miejsce. Pamiętam matkę naszego lekarza, który został tam rozstrzelany. Przez kilka godzin palono tam znicze i wszyscy się modlili za tych niewinnie straconych Polaków. Takie egzekucje niestety stawały się coraz częstsze. Niemcy bali się akcji organizowanych przez podziemie i próbowali, w tak bestialski sposób, straszyć ludność cywilną.

Kiedy jechały transporty z węglem, to z okien widać było, jak chłopcy wskakują na wagony, zrzucają wielkie bryły i zeskakują w biegu. Rozwścieczeni Niemcy strzelali do nich, kilku ranili, ale oni byli „nie do zdarcia”. Jednak jednego tuż przed naszym domem dopadł niemiecki pies, poszarpał go i Niemcy go zabrali. Chyba już nigdy nie wrócił. Co bardziej przedsiębiorczy ludzie zaczęli sobie jakoś radzić.

W naszym domu były wytwórnie papierosów, wódki monopolowej, a nawet rzeźnia i wytwórnia wędlin. Odbywało się to w mieszkaniach, piwnicach, w pralni. Były przy tym zatrudnione trzy, może cztery rodziny. Reszta, jak na przykład my, „klepała biedę”. Na pierwszym piętrze, po rodzinie, która się na początku wojny wyprowadziła, zamieszkał samotny człowiek. Właściwie do końca nikt go nie znał. Od momentu powstania getta i zainteresowania się problemem żydowskim wszyscy już wiedzieli, że jest to Żyd, który postanowił przetrwać tu wojnę, co mu się zresztą udało. Zaraz po wyzwoleniu zniknął gdzieś bez śladu. Nie wiem, kto dostarczał mu żywności, ale pewnie ktoś komu za to płacił. Natomiast wiem na pewno, że wiele osób dzieliło się z nim swoimi skromnymi posiłkami. Był taki specjalny sposób pukania do tego mieszkania, który właściwie wszyscy mieszkańcy znali. Chyba nikomu nie przyszłoby do głowy, że można to ujawnić Niemcom. Pamiętam, że tata, który nie znał tego pana i nie chciał wiedzieć kim on jest, bardzo często przez nas przesyłał mu papierosy. Sam nabijał sobie te gilzy tytoniem, brał w garść kilka tych skrętów, dawał mnie albo Wiesi i kazał zanieść temu panu z pierwszego piętra. Choć o Żydach w czasie wojny mówiło się dużo, ja noszę w sobie na ten temat tylko trzy smutne wspomnienia.

Ciocia Aniela w tym czasie mieszkała na Nowolipkach. Zresztą ona zawsze mieszkała wśród Żydów i żyła z nimi w dobrych stosunkach. Jej Syn był już dorosłym mężczyzną, mieszkał oddzielnie, dlatego Ciocia często zabierała do siebie którąś z nas na kilka dni. Byłam wtedy właśnie u niej, kiedy przyszedł młody człowiek, Berek, kolega Olka ze szkoły. Chciał się pożegnać, „bo następnego dnia Żydzi mieli znaleźć się w getcie”. Żegnał się z Ciocią i Wujkiem. Olek poszedł odprowadzić go do domu i wrócił bardzo smutny. Następnego dnia wszyscy staliśmy w oknie, kiedy Żydzi z opaskami na rękach szli otoczeni przez żandarmów. Berek popatrzył w okno i pomachał nam. Wtedy wszyscy płakaliśmy.

Następne wspomnienie jest znacznie późniejsze. Na teren getta wjeżdżał tramwaj. Pojechałam tam z mamą, która miała tam komuś coś przekazać. Kiedy wysiadłyśmy z tramwaju (nie wiem na jakiej to było ulicy) weszłyśmy do malutkiej cukierunki. Byłyśmy bardzo głodne. Mama kupiła pięć ciastek. Swoje zjadłyśmy na miejscu, a trzy były zapakowane dla reszty domowników. Jak tylko wyszłyśmy podbiegł do nas mały chłopak i wyrwał mamie tę paczuszkę. Stanęłyśmy na moment. Wtedy podbiegła do nas Żydówka, starsza pani, krzycząc: „złodziej, łap pani złodzieja!”. Widziałam jak mamie po twarzy płynęły łzy. „To nie żaden złodziej, a głodne dziecko – powiedziała. – Niech pani tak nie krzyczy, bo zainteresują się tym Niemcy”. Żydówka odchodząc jeszcze mruczała coś pod nosem. Mama była przerażona, że nawet w takich ekstremalnych warunkach ludzie nie mogą się zdobyć na solidarność. Nigdy więcej już tam nie pojechałyśmy.

No i oczywiście najgorsze wspomnienie mam z okresu powstania w getcie. Wprawdzie przeżywałam to na Pradze, ale i tak słyhać było detonacje i strzały. Najbardziej jednak zapamiętałam unoszący się czarny dym. Trwało to przecież kilka dni. Za każdym razem, kiedy wyszłam z domu i zobaczyłam ten dym, płakałam. Kiedy sobie wyobraziłam, że ten smog pochodzi z palących się domów i pewnie ludzi, nie mogłam powstrzymać się od łez. Zresztą nie tylko ja. Wszyscy patrzyli w tę stronę z wielkim niepokojem i współczuciem. Zaskoczeniem dla sąsiadów było, że „pan z pierwszego piętra”, któremu doniesiono, co dzieje się obecnie w getcie, sprawiał wrażenie zupełnie nie zainteresowanego tą sprawą. W ogóle nie pytał o żadne szczegóły, ani nie wyrażał współczucia. Wszyscy, którzy o tym wiedzieli, byli na niego oburzeni. Moja mama po tych dwóch doświadczeniach braku solidarności doszła do bardzo ciekawego wniosku. Stwierdziła, że członkowie narodu tak bestialsko prześladowanego przez Niemców, będącego u progu wyniszczenia biologicznego, tracą poczucie więzi i odpowiedzialności za innych. Instynkt samozachowawczy podpowiada im, że tylko w alienacji jest szansa przeżycia. Wielu zresztą z takiej szansy skorzystało.

Nasza mama mnie i Wiesię traktowała jako dwie małe i nie mogłyśmy nigdzie dalej same wychodzić. Tata czasem wstawiał się za mną, wiedząc jak bardzo lubię jeździć do Niego na Kopernika i wymyślał coś, że jestem Mu potrzebna. Zawsze się cieszyłam na taki wyjazd. Ulice Warszawy i wystawy mijanych sklepów wydawały mi się takie piękne, że starałam się obchodzić je jak najdłużej. Dojeżdżałam zatem tramwajem do rogu Alei Jerozolimskich i Marszałkowskiej, potem wracałam Alejami do Nowego Świata i tą ulicą szłam do Kopernika. Idąc tak od Marszałkowskiej do Nowego Świata mijalam zawsze studenta w brązowej czapce, chyba z Politechniki, grającego na skrzypcach. Często zatrzymywałam się koło niego. Stał zawsze odwrócony tyłem do ulicy, przy murze domów. Było mi go żal. Grał takie smutne melodie. Widziałam jak ludzie dawali mu pieniądze. Dopiero z filmu „Zakazane piosenki” dowiedziałam się, że to niemiecki szpieg. Ja takich piosenek, jak te grane na filmie nie słyszałam, choć oczywiście teksty niektórych były znane. Tylko raz spotkałam w tramwaju chłopca, pewnie w moim wieku, który śpiewał. Przy zwrotce „siekiera, motyka, piłka, alas, przegra wojnę głupi malarz” – jakiś pan wziął go za rękaw i zapytał: „A kto to jest, ten głupi malarz?” W wagonie zrobiła się

cisza, wszyscy patrzyli na tę scenę, jakby gotowi rzucić się w obronie chłopca. Ale on popatrzył tymi swoimi doświadczonymi oczami, nic nie mówiąc. Przeciągnął ciszę prawie do samego przystanku i krzyknął uciekając do przodu wagonu: „Nie wie pan? Hitler!” Ten pan się tak śmiał, że wszyscy ludzie w wagonie się śmieli. Zdążył dogonić chłopca i dał mu jakiś spory banknot. Chłopiec pieniądze wziął, ale i tak na tym przystanku wyskoczył z tramwaju.

U nas w domu stawało się coraz ciężej. Na nic nie wystarczało pieniędzy. Mama nawet próbowała pohandlować trochę i przywieźć nam coś do jedzenia. Zawiozła na wieś pod Łowicz jakieś ciuchy, a z powrotem wiozła jakąś żywność. Niestety na dworcu wschodnim Niemiec uderzył Ją kolbą karabinu w prawą rękę, którą bardzo długo po tym złamaniu leczyła.

Mój ojciec nie nadawał się w ogóle do takiego zarobkowania. Ja w tym czasie nauczyłam się bardzo szybko, nawet po ciemku, robić na drutach takie mniej skomplikowane rzeczy. Robiłam na zamówienie skarpetki, rękawiczki i inne rzeczy z wełny. Płacono mi za to grosze, ale zawsze. Doszłam do takiej wprawy, że w ogóle nie było mi potrzebne światło. Zimą siedziałam koło rozpalonego piecyka, tzw. kozy, który był wstawiony do pokoju i jeśli, broń Boże, spadło mi oczko z drutu, to otwierałam drzwiczki piecyka i to naprawiałam. Z tego okresu został mi uraz i przez całe lata po wojnie nie dotykałam drutów. Nie robiłam ani na drutach, ani szydełkiem. Później mi to na szczęście przeszło.

Moja Lucynka, która miała już prawie osiemnaście lat, wraz ze swoją przyjaciółką ze szkoły (późniejszą aktorką i spikerką Polskiego Radia), zaangażowały się do teatru „Miraż” przy ul. Zygmuntowskiej. Grały w bajce „Krysia Łachmaniarka”, gdzie Wanda była tytułową Krysią, a Lucynka – Dobrą Wrózką. Później jeszcze czas jakiś występowały w teatrze „Nowości” przy ulicy Mokotowskiej, w rewii, w balecie. Nie trwało to długo, ale ile radości dawało to nam w domu. One urządziły teatr w naszym mieszkaniu, a zwłaszcza Lucynka. My, smarkule, znałyśmy cały repertuar tego teatru. Wszystkie piosenki i kuplety. Po prostu Ona nam śpiewała i mówiła, a my się uczyłyśmy.

Lucynka była już wtedy panienką, która spotykała się z chłopcami. Miały razem z Wandą paczkę swoich znajomych, chłopców z organizacji. Byłyśmy wpatrzone w Nią. Wszystko byśmy dla Niej zrobiły, a Ona za to grała przed nami różne role.

W naszym domu mieszkała rodzina państwa Okrzejów. Pan Michał Okrzeja, rodzony brat Stefana, z żoną i córką. Rodziny były zaprzyjaźnione. Sylwia była przyjaciółką Lucynki, ładną i szaloną dziewczyną. Urządziły kiedyś u nas w mieszkaniu, ni mniej ni więcej, tylko seans spirytystyczny. Był to okres, kiedy w Warszawie nie było prądu. Odbywało się to wszystko przy przyćmionej karbidówce. Przystosowały jakiś stolik, coś na nim napisały. Mama moja podchodziła do tego sceptycznie, ale nie zabraniała. Przypominam sobie, że w seansie tym brał również udział taki przystojny młodzieniec Fred. My małe nie byłyśmy dopuszczone do tego, żebyśmy się przypadkiem nie śmiały. W pewnym momencie, kiedy seans już się rozkręcił (dosłownie), a pani Okrzejowa wywoływała ducha swego męża, który już w tym czasie nie żył – gwałtownie zadzwonił dzwonek przy drzwiach. Ja pobiegłam otworzyć. Za drzwiami była ciemna, głucha pustka. W tym momencie wszyscy uświadomili sobie, że przecież dzwonek jest elektryczny, a elektryczności nie ma. Próbowaliśmy zaraz, czy uda nam się tym dzwonkiem dodzwonić. Nie udało się, milczał jak zakłęty. Powstało duże zamieszanie. Mama zlikwidowała wszystkie akcesoria i tak zakończył się jedyny seans spirytystyczny, którego byłam świadkiem.

Już od połowy 1941 roku, od wypowiedzenia przez Niemcy wojny ZSRR, następowały naloty rosyjskie na Warszawę. Były one jednak na szczęście rzadkie. Nasiliły się w miarę przybliżania się frontu wschodniego. W latach 1943-44 były one bardzo uciążliwe. Pamiętam te zapalane „zyrandole”, po których następowały bombardowania.

Lato 1944 roku praktycznie spędziliśmy w piwnicach. Boże, jak ja strasznie źle to znosiłam! Świadomość, że nade mną są cztery kondygnacje sprawiała wrażenie, że się duszę. Dopiero teraz wiem, że mam klaustrofobię. Czasem udawało mi się zostać na górze z tatą, ale to można policzyć na palcach. Mama na to nie pozwalała. Poza tym to również było bardzo nieprzyjemne, kiedy w nocy, przez te zyrandole, robiło się widno jak w dzień i tylko słychać było huk rozrywających się bomb. Kiedyś przez okno w kuchni, wpadł do mieszkania szrapnel, który na szczęście utkwiał w drzwiach.

Tak, rok 1944 z całej wojny pamiętam najdokładniej. Po pierwsze byłam już starsza, a po drugie najczęściej się w tym roku działo. Bombardowane fabryki, różne wytwórnie były natychmiast „oczyszczone” przez wygłodniałą ludność Pragi. Pamiętam, że z byłej fabryki Adamczewskiego wnoszono całe bloki mydła i tłuszczu, skażonego stearyną, przygotowanego do wyrobu świec. Od nas nie bardzo miał kto iść. Tata się do tego nie nadawał, my dwie małe też nie, bo przecież byli jeszcze Niemcy. Wprawdzie mieli już swoje większe kłopoty ze zbliżającą się od wschodu armią, ale i tak często strzelali do ludzi niosących łupy. Głód jednak był silniejszy od strachu. Ludzie chodzili tam z narażeniem życia. Mama też kiedyś wybrała się z Lucynką. Przyniosła kawał tego tłuszczu, natomiast Lucynka piękne drobiazgi, zupełnie nieprzydatne. Jakieś lakiery do paznokci, barwniki do farbowania, eliksiry do ust itp. W całym domu czuło się topienie tego tłuszczu. Jeśli któraś pani miała mąkę, to smażyła na nim placki. Trzeba je było jeść na gorąco, bo kiedy stygły, stearyna zastygała i miały smak świecy. I znów – przez kilka lat po wojnie nie jadłam żadnych placków, nawet najlepszych, ziemniaczanych, smażonych na normalnym

oleju. Tak długo czułam na wargach smak tamtego zastygającego tłuszczu. To nie było zresztą jeszcze najgorsze doświadczenie, bo na przykład w czasie Powstania nie było w ogóle co jeść.

Dom nasz, był ostatnim przed wałem kolejowym. Do pętli tramwaju było około 1500 metrów. Prawie od początku okupacji mieszkańcy naszego domu, z wielkim trudem, bo był to udeptany przez nas plac zabaw, zaadaptowali część tej ziemi pod malutkie działki. Każdy mieszkaniec miał kawaleczek ogródka, w którym sadił jakieś warzywa. Te pomidory i cebula w czasie Powstania przez pewien czas utrzymywały nas przy życiu.

1 sierpnia 1944 roku upamiętnił nam się zwłaszcza tym, że tata został po lewej stronie Wisły. Pamiętam również mężczyzn z naszego domu odchodzących do oddziałów powstańczych. Pamiętam z jakim podziwem patrzyliśmy na naszą sąsiadkę, która żegnała dwóch synów idących walczyć. Nachylali się nad jej dłonią, a ona całowała ich w głowę i robiła nad nimi znak krzyża. Nie było przy tym żadnej łzy. Synowie ci zresztą wkrótce wrócili, bowiem powstanie na Pradze trwało tylko cztery dni. Wobec ogromnej przewagi Niemców, którzy do walki użyli czołgów i artylerii, powstańcy musieli wycofać się z walk. Nastąpiły dni grozy. Nie można było w dzień wychodzić na ulicę. Dotyczyło to głównie ludzi młodych.

Przez pewien czas mieszkaliśmy razem z nami moje dwie, malutkie bratanice – Ola i Irka. Piszę o tym dlatego, że matka dziewczynek była jedyną osobą z naszej bliskiej rodziny, która została w czasie wojny zabita. Zdarzyło się to właśnie w pierwszych dniach sierpnia 1944 roku, kiedy wyszła od nas i zmierzała do domu wzdłuż wału od strony Targówka. Szła na Pelcowiznę. Była w siódmym miesiącu ciąży. Nie sposób było nie zauważyć jej stanu. Nie przeszkodziło to jednak niemieckiemu „bohaterowi” stojącemu na wale, by puścić serię z karabinu i ją zabić.

Kiedy w Warszawie trwały otwarte walki Powstańców z Niemcami, na Pradze nastąpiła pacyfikacja. Niemcy podzielili tereny na kwadraty, podjeżdżali samochodami i ogłaszali, że wszyscy mężczyźni mają się stawić umówionego dnia na dworcu wschodnim, skąd zostaną przewiezieni na roboty do Rzeszy. Mężczyźni, którzy się do tego nie dostosują, będą rozstrzelani. Z naszego domu poszło na ten rozkaz jedenastu mężczyzn, z których po wojnie wróciło chyba tylko trzech. Oczywiście zamiast na roboty zostali oni wywiezieni do obozów. W następne dni Niemcy robili rewizje w mieszkaniach, szukając czy nie ma mężczyzn i również młodych kobiet. Nasza Lucynka wraz z resztą młodzieży chowała się na strychu i w piwnicach. Dokładnie pamiętam zwłaszcza jedną taką rewizję. W mieszkaniu nikogo, tylko my dwie. Trzęsłyśmy się ze strachu, bo Niemcy chodzili po piętrach. Mama, nigdy niepewna, czy nie odkryją ukrywających się, położyła się na łóżko i bardzo płakała. Weszło dwóch Niemców z charakterystycznym dla żandarmów loskotem karabinów, które bujały im się na piersiach. Sprawdzili, że w mieszkaniu nie ma nikogo, poza nami. Jeden z nich wychodząc doszedł do mamy i takim łamanym językiem zapytał dlaczego płacze. Wtedy wybuchła jeszcze większym płaczem i powiedziała, że zabrali jej męża i córkę. Zatrzymał się przez chwilę, poklepał mamę po ramieniu i pocieszał mówiąc: „Nie płakać matka, nie płakać; oni wrócą”. To był moment. Widać było, że ukrywał to współczucie przed drugim Niemcem.

Codziennie z balkonu patrzyliśmy z przerażeniem na pożary i wybuchy, dochodzące zza Wisły. W czasie Powstania bardzo dużo rodzin zostało rozdzielonych. Dużo ludzi nie mogło już po pracy wrócić do domu lub po prostu znaleźli się w tym czasie po tamtej stronie. Ludzie truchleli na myśl, co grozi ich najbliższym. Moja Lucynka w tym czasie przez swoją koleżankę nawiązała kontakt z członkami opozycyjnej organizacji, działającej na Pelcowiznie. Kilka razy, przebrana za starą kobietę, przemierzała tę drogę, przynosząc ze sobą tajemniczą teczkę. Następnie ja przenosiłam tę teczkę na teren naszej byłej szkoły przy ul. Otwockiej. Wchodziło się wejściem do budynku mieszkalnego. Przy bramie oczywiście stała straż niemiecka, ale na mnie, niedużą dziewczynkę, nie zwracali uwagi. Kiedy przechodziłam koło tego Niemca miałam nogi z waty. Biegłam potem po schodach na najwyższe piętro, gdzie po przebyciu kilku różnych korytarzy trafiałam do pokoju, w którym ukrywała się część naszych nauczycieli. Panowie ci odbierali ode mnie teczkę, zostawiali zawartość w swoim pokoju, a mnie oddawali pustą. Nie wiedziałam co przynoszę, ale byłam przekonana, że broń. Kiedy niosłam teczkę czasem nią poruszałam i słyszałam taki dźwięk metalu. Byłam bardzo z siebie dumna. Niestety, spotkało mnie rozczarowanie. Otóż kiedy ostatni raz zaniósłam teczkę, panowie oczekiwali jej z wielką niecierpliwością. Wyładowując teczkę nie zamknęli drzwi i ku swojemu zaskoczeniu zobaczyłam, że były w niej po prostu puszkami z jakimiś konserwami. Poczulałam się oszukana i upokorzona. Pamiętam, że z płaczem pobiegłam do domu i poskarżyłam się mamie. Ale moja najlepsza, najmądrzejsza, najukochańsza mama wytłumaczyła mi, że nikt nie ośmieliłby się narażać mnie na noszenie broni pod nosem Niemców i że ktoś, kto się ukrywa również musi jeść. One się trochę ze mnie śmiały, ale ja już więcej tam nie poszłam. Na szczęście, nie było już takiej potrzeby, bo Niemcy wkrótce wycofali się z Pragi.

Ten nasz wał kolejowy był dużą przeszkodą dla nacierającej od wschodu armii. Niemcy na wale przy naszym domu ustawili kilka wozów pancernych, obok czołgi i na naszej ul. Łomżyńskiej armatę. Znaleźliśmy się więc w samym centrum walk. Żyliśmy wówczas jak krety, prawie nie wychodząc

z piwnic. Mężczyzn było wtedy w naszym domu nie więcej niż czterech. Były za to bardzo dzielne kobiety, do których zaliczała się również moja mama. Nasz dom, jako nowoczesny, nie miał bramy, a tylko ładne, dwuskrzydłowe drzwi wprost na klatkę schodową. W tym czasie, kiedy sąsiedztwo Niemców, obsługujących rozmieszczony sprzęt, było o krok od naszego domu, stosowane były dyżury przy zamkniętych drzwiach. Dyżurowały kobiety i trzech mężczyzn, bo czwarty nie chciał się narażać. Przesiedział cały czas w piwnicy, a kiedy robiono mu z tego tytułu zarzut, twierdził, że woli być żywym tchórzem niż zabitym bohaterem. Tak, on istotnie miał się po co oszczędzać. On wiedział dokładnie, kto nadchodzi i jaka kariera go czeka. Natychmiast po wyzwoleniu Pragi tylko jego było słyhać. Był w centralnych władzach, aż wyładował na stanowisku pierwszego po wojnie ministra transportu.

Codziennie wieczorem odmawialiśmy wszyscy Litanię Loretańską do Matki Bożej. Brzmiało to trochę jak modły pierwszych chrześcijan w katakumbach. Oczywiście w modlitwach nie brał udziału pan R., który na ten czas chronił się w swojej piwnicy. Mężczyźni na tych dyżurach mieli ze sobą broń, to znaczy siekiery i łopaty. Na ogół w nocy nikomu bramy się nie otwierało. Pamiętam jednak taką noc, kiedy gros mieszkańców przebywało na klatce schodowej, na parterze.

Front wschodni się zbliżał. Trwała straszna walka. Niemcy strzelali z wału, a nadchodząca armia – w stronę wału. Znaleźliśmy się pod gradem pocisków i kul karabinowych. Wszyscy oczekiwali, że wkrótce nasz dom się zawali. I właśnie w nocy, w czasie takiej strasznej walki, ktoś nerwowo dobijał się do naszej bramy. Na pytanie „kto?” – początkowo nie odpowiadał nic, a następnie po niemiecku rozpaczliwie błagał, żeby go wpuścić. Trwało to na tyle długo, że wszyscy zaczęli się na siebie wzajemnie patrzeć, jakby pytając co robić. Niemiec zapewniał, że jest sam. Wreszcie postanowiono tę bramę otworzyć. Widok był straszny. Młodziutki, może dwudziestoletni żołnierz niemiecki, był w tak kiepskim stanie, że prawdopodobnie było mu wszystko jedno co go spotka. Znalazłam się blisko i widziałam jak mężczyznom, którzy trzymali siekiery po prostu opadają ręce. On usiadł na małej ławeczce, która tam stała, po czym opuścił głowę i ręce prawie do podłogi. Początkowo nie mówił nic, a potem powtarzał: „Hitler kaput, Hitler kaput”. Panie zbliżyły się do niego i mama moja z czajnika, który zawsze stał z przegotowaną wodą, naląła mu kubek do wypicia. W tym momencie zadziałał instynkt samozachowawczy. Odsunął głowę trochę do tyłu. Mama pierwsza napiła się z tego kubka i dopiero wtedy on zaczął pić. Był bardzo spragniony. Rozglądał się. Patrzył na nas wszystkich i na nas dzieci, ubrane jakby już wychodziły z domu. Kiwał głową. W końcu się rozplakał. Mówił przez łzy, że nie mógł już wytrzymać i uciekł z wału, pozostawiając działo. Nikt nie powiedział mu nic złego, ani nie tknął go palcem. W ogóle raczej była cisza. I dopiero kiedy po pewnym czasie zaczął prosić o jakieś cywilne ubranie – nikt mu nie dał. Został wypuszczony takim tajnym wyjściem przez podwórko, ale w swoim mundurze. Wszyscy byli zgodni, że można go było potraktować łagodnie jako wystraszonego, zagubionego chłopaka, ale odpowiedzialność jako niemiecki żołnierz musi ponieść.

Tak się zaczęli nasi nocni goście. W nocy z 12 na 13 września trwały jeszcze zacięte walki, ale przeważnie słyszeliśmy już tylko strzały z karabinów i odgłos odjeżdżających czołgów. Powtórzyło się walenie do bramy, ale pytany odpowiadał z grubsza po polsku z bardzo rosyjskim akcentem. Był polskim żołnierzem, idącym ze wschodu. Naturalnie bramę otworzyliśmy. Wszyscy rzucili się do niego po wiadomości. Opowiadał, że przedarł się przez wał w jakimś ciemnym miejscu. Był zaskoczony, że tu już prawie nie ma Niemców. Twierdził, że wojsko jest przekonane, że hitlerowcy za wałem zmasowali swoją obronę, a oni tymczasem wycofywali się już za Wisłę. Miał wesołe usposobienie i chociaż mówił tak „z kiepska po węgiersku”, można się było z nim dogadać. Znaleźli inny, ogólnie dostępny język i wyszedł z naszego domu lekko się chwiejąc.

Nad ranem strzały ustały zupełnie. Zrobiła się bardzo niepokojąca cisza. Co najmniej od miesiąca nikt już nie sypiał w domu. Wszyscy przenieśliśmy się do piwnic. W ciągu dnia kobiety przebywały w mieszkaniach, coś robiły, coś gotowały, jeśli miały co. Ten rano, trzynastego września 1944 roku będę pamiętała do końca życia. Wychodząc z piwnicy, zaniepokojone tą ciszą, weszłyśmy z mamą do sąsiadki, mieszkającej na parterze. Był bardzo ciepły, pogodny dzień. Okno było całe otwarte. Stanęłyśmy w nim i patrzyłyśmy wszystkie na wał. Pozostał tam jeden opuszczony przez Niemców wagon pancerny. Pod wałem nie było ani jednego czołgu. Na górze stało kilku żołnierzy ubranych w zielone mundury. Podobne mieli Węgrzy w niemieckim wojsku. Ci żołnierze stali tak jakoś niepewnie. W pewnym momencie ulicą Jadowską, równoległą do wału, przebiegała jakaś kobieta. I wtedy usłyszałyśmy, jak żołnierze z wału wołają: „Proszę pani, proszę nie przechodzić. Niemcy są niedaleko. Jeszcze strzelają”. Kiedy usłyszałyśmy ten polski język i zorientowałyśmy się, że to jest wojsko polskie, nastąpiło szaleństwo. Ludzie już zupełnie nie zwracali uwagi na komendy. Wysypali się z domów, witali tych żołnierzy czym mieli – kwiatami, pocałunkami, ale niestety również alkoholem. Potem niektórzy leżeli w bramach i trzeba im było pomagać. To był dla mnie wielki dzień. Cały czas byłam na dworze. Machaliśmy tym żołnierzom, obrzucaliśmy ich kwiatami. Na szczęście przez kilka najbliższych dni wchodziło do nas tylko Wojsko Polskie, a nie widzieliśmy żołnierzy radzieckich. Byłam bardzo szczęśliwa i nie zwracałam uwagi na sceptycyzm dorosłych. Niektórzy byli naprawdę zrozpaczeni, że do Polski weszli bolszewicy. Ci ludzie mieli za sobą smutne doświadczenia. Byliśmy

przekonani, że idąc za ciosem, wojsko oswoi całą Warszawę. I tu spotkało nas wielkie rozczarowanie. Za Wisłą trwało krwawe Powstanie. Niemcy mordowali Powstańców i ludność cywilną, burzyli domy, a polskie wojsko stało po drugiej stronie Wisły i nie mogło pomóc, bo taki był rozkaz. Wtedy rzeczywiście mój entuzjazm zaczął opadać.

Na szczęście życie odbywało się teraz na powierzchni ziemi. Było jednak smutne i trudne. Nie mieliśmy co jeść, czym palić w kuchni. Mieszkańcy okolicznych domów bardzo często wykopywali ziemniaki, marchew, buraki z pól uprawianych na dalekim Targówku. Gospodarze tych pól byli przez to bardzo źle usposobieni do warszawiaków. Mimo takiej złej aury mojej mamie udało się kilka razy zdobyć dla nas ziemniaków, a nawet mleka. Po prostu zanosila tym gospodarzom rzeczy, które kiedyś przyniosła Lucynka z rozbitej fabryki Adamczewskiego. Były one nieprzydatne w warunkach wojennych, ale za to ładnie opakowane i efektowne. Poza tym podejrzewam, że ludzie ci dawali mamie głównie dlatego, że nikomu nic sama nie wzięła, ale szła całe kilometry, żeby dzieciom przynieść coś do jedzenia.

Drzewo na opał zносиło się z różnych rozwalonych domów. To była naprawdę walka o przetrwanie. Żołnierzy radzieckich zobaczyłam na szczęście dopiero po kilku dniach i nie było to najlepsze spotkanie. Nasz dom od frontu otoczony był małymi ogródkami, w których rosły kwiaty. Ogródki te były odgródzone od chodnika bardzo ładną siatką, umieszczoną na podmurówce betonowej. Ten dom, o którego konstrukcję było tyle obaw, przetrwał zawieruchę wojenną i stał sobie ze swoimi w najlepsze. Dopiero pierwszy czołg radziecki, który jechał naszą ulicą i skręcał w poprzeczną, skrócił sobie drogę i przejechał przez ogródek, niszcząc całe ogrodzenie. Omal nie zahaczył o dom. Nie mogliśmy im tego darować. To było zwyczajne świństwo. Pamiętam towarzystwo, które jechało na zewnątrz czołgu. Dwóch żołnierzy i taka ruska dziewczyna, która na mundur nałożony miała jedwabny podkoszulek. Była bardzo elegancka. Ludzie wszyscy krzydzeli na nich, wymachiwali rękami z oburzenia, a oni się śmieli. Od tego czasu ja się ich po prostu bałam.

Nasze okolice, jako mniej zniszczone i w tym czasie bardziej bezpieczne, zajęte zostały przez nowe władze. Ulice w pobliżu Wisły były wyludnione i opanowane przez wojsko. Niemcy z drugiej strony Wisły tak ostrzeliwali Pragę pociskami, że Targowa nazywana była Aleją Śmierci. Miała się o tym przekonać moja Siostra Lucynka. Wyobrażała sobie, że po wolnej Pradze można się już bezpiecznie poruszać i koniecznie chciała dostać się na ulicę Grochowską. Wróciła do domu dopiero wieczorem, przedostając się między trupami i uciekając przed pociskami. Była po tej wyprawie przez kilka dni w takim stanie, że zachodziła obawa o Jej zdrowie. Nie odzywała się do nikogo, siedziała z nakrytą głową i tylko się modliła. Na szczęście młody organizm się obronił, ale przeżycie było straszne.

W tym czasie życie na Pradze zaczęło się trochę normować. Po ulicach chodzili ludzie, otwarte były niektóre sklepy, ale przede wszystkim kwitł handel. Handlowano wszystkim. Często nawet wymieniano towar za towar. Ludzie wynosili to, co jeszcze cenniejszego zostało w ich domach, a w zamian otrzymywali potrzebną żywność. Pieniądzy chyba wtedy nie było wiele w obiegu, ale coś się już działo. Za skromniutkie plony z naszej działki, zwłaszcza cebulę, kalarepkę i słoneczniki, można było dostać już trochę pieniędzy na chleb, tłuszcz lub ziemniaki. Mama robiła nadludzkie wysiłki, żeby nas jakoś nakarmić.

Lucynka, jako córka inwalidy wojennego, już w 1944 roku zaczęła pracować w Związku Inwalidów Wojennych, który mieścił się wtedy przy ul. Białostockiej. Nie wiem czy dostawała jakąś pensję, ale wiem, że przyprowadzała jeszcze do domu takich biedaków, inwalidów, którzy nie mieli ze sobą co zrobić i ta biedna mama jeszcze im pomagała.

Razem z Armią Polską, idącą od wschodu, wrócił i odszukał Lucynkę Jej przedpowstaniowy znajomy, a właściwie wielka sympatia. Jurek od tego czasu składał nam wizyty, kiedy tylko mógł. Ponieważ był w wojsku, więc spotkania odbywały się o różnych porach. My „małe” byłyśmy w nim zakochane. To był naprawdę uroczy chłopak. Nie mogliśmy darować Lucynce, że interesuje się również innymi chłopami, ale taka Ona już była. Zresztą po zakończeniu wojny mężem Jej został drugi wojskowy, który do Niej przychodził, powstaniec warszawski. We wrześniu 1944 roku przepłynął Wisłę i zaciągnął się do armii, z którą doszedł do Berlina. Po zakończeniu wojny ożenił się z Lucynką.

W naszej szkole chyba 11 listopada 1944 roku Wojsko Polskie urządziło akademię. Ogłoszenia oznajmiały, że po występach odbędzie się film, reżyserowany przez panią Jakubowską pt. „Tęcza”. Pilnowałam Lucynki, żebyśmy koniecznie na to poszły. Chodziło mi szczególnie o film. Przecież ja w ogóle nigdy nie widziałam filmu. Jeden raz w życiu byłam w kinie. Po śmierci Marszałka Piłsudskiego wyświetlany był chyba średniometrażowy film z Jego życia i pogrzebu. Nasza Niania, która pewnie nie miała co ze mną zrobić, wzięła mnie ze sobą na poranek do kina. Miałam wtedy coś około pięciu lat. Z filmu tego zapamiętałam tylko konie, trumnę wieszoną na lawecie i mnóstwo kwiatów. Jednak później zachowywałam się tak jak Pan Maluśkiewicz – Juliana Tuwima. Jeśli ktoś zapytał mnie, czy byłam już w kinie, odpowiadałam – no, chyba. Tytuły przedwojennych filmów polskich i głośnych, zagranicznych, znałam z czasopism prenumerowanych przez Rodziców i z Ich opowiadań. Znałam

również z zamieszczanych w tych czasopismach zdjęć bardzo dużo polskich i innych, światowej sławy aktorów. Interesował mnie ten świat, jak pewnie wszystkie młode dziewczyny.

Tak bardzo chciałam teraz zobaczyć zapowiadany film. Na akademię przyszły tłumy ludzi, spragnionych jakiegokolwiek rozrywki. Były skecze, piosenki, było dość wesoło. I na koniec wyszło na scenę kilku Powstańców Warszawskich w charakterystycznych panterkach z biało-czerwonymi opaskami na rękawach, Boże, co się wtedy działo. Wszyscy wstali i witali ich burzliwymi oklaskami. Na sali słyhać było płacze, łkania i okrzyki. Oni stali ze spuszczoneymi głowami, nie odzywali się nic. Trwało to długie minuty. Ludzie nie chcieli ich po prostu puścić. Zresztą kiedy zeszli ze sceny, zostali ściśle otoczeni przez widzów. Pytaniem, odpowiedziom i rozmowom nie było końca. Moja Lucynka również z nimi rozmawiała, usiłując dowiedzieć się o kolegów i znajomych walczących w Powstaniu. Od jednego z nich otrzymała tragiczną wiadomość, że narzeczony Wandy, najlepszej przyjaciółki, nie żyje. Został zabity, rzekomo na Mokotowie. Wszystkie dane personalne się zgadzały. Taki miał ładny pseudonim Diavolo.

Teraz Lucynka, poza wielkim żalem za tym uroczym chłopakiem, miała ogromny dylemat. Powiedzieć czy nie tę straszą wiadomość Wandzie? A jeśli nie, to jak żyć w zażyłości z nią, znając taki sekret? Wanda mieszkała przy ul. Szerokiej, w bezpośrednim prawie sąsiedztwie Wisły. Wszystkich mieszkańców tych domów wojsko ewakuowało do innych, niezajętych mieszkań na Pradze. Jej rodzice zamieszkali w jakimś domu przy ul. Stalowej. Wanda w tym czasie właściwie mieszkała razem z nami. Lucynka była zszokowana i zrozpaczona tą wiadomością. Nie interesowały Jej już dalsze części akademii. Niestety i wówczas nie udało mi się zobaczyć filmu. Nie mogłam się skupić, zbyt przejęta sprawą. I znów nasza mądra mama, do której zwróciła się o pomoc, poradziła Jej po prostu nic Wandzie nie mówić. Jeszcze długie lata po wojnie ludzie będą się poszukiwali. Wiadomość ta, w takiej brutalnej formie, może do niej nigdy nie dotrze. Ponadto jest to wiadomość niesprawdzona i nie należy jej dalej przekazywać. Okazało się, że mama miała świętą rację. Edward wrócił. Zwłoki któregoś z walczących kolegów przykrył swoją marynarką, w kieszeni której była legitymacja. Dane z legitymacji umieszczono na tabliczce przy pochowanym i stąd całe tragiczne nieporozumienie.

W grudniu 1944 roku u nas i na pobliskich ulicach odgłos strzałów należał już do rzadkości. Oczywiście dochodziły one zza Wisły, ale siłą rzeczy przytłumione. Taka codzienna śmierć przestała nam zagładać w oczy. Po trochu wszyscy, borykając się z uciążliwościami życia, zaczęli „lizać” swoje rany. I właśnie wtedy, dosłownie przed samą Wigilią Bożego Narodzenia, przeżyłam największy dramat, jaki zapamiętałam z tej strasznej wojny. Nasz dom – Łomżyńska 31 – był połączony z innym, wybudowanym w kształcie litery L – Łomżyńska 29. Obydwa stały z dala od innych. W czasie wojny mieszkańcy tych dwóch domów traktowali się jak współlokatorzy. Piwnice były również połączone. Szczególnie chyba my dzieci byliśmy ze sobą zaprzyjaźnione. Chodziłyśmy do tej samej szkoły, czasem do tej samej klasy, bawiliśmy się razem przed domem i w piwnicach. Właśnie rozstałyśmy się wieczorem ze swoimi koleżankami i kolegami i wszyscy poszliśmy do domów. W nocy obudził nas straszny wybuch. Dom się cały zatrzęsł. Dobięliśmy wszystkie do mamy i stałyśmy wystraszone. Wybuch się nie powtórzył – budynek się nie zawalił. Mama stwierdziła, że musiała gdzieś niedaleko wybuchnąć Berta. Niemcy zza Wisły wystrzelili takie bardzo potężne pociski, które już wcześniej zburzyły dom przy ulicy Ząbkowskiej i w innych miejscach. Doszliśmy do okna. Ściana tamtego domu, którą było widać z naszego okna, stała. Nic złego nie przeczuwałyśmy, a mama uspokajała nas, że to gdzieś dalej i że te pociski są pojedynczo wystrzeliwane i na pewno już dziś nic nam nie grozi. Kładłyśmy się do łóżek, a Ona mimo chłodu otworzyła lufcik i patrzyła na ten dom obok. Było ciemno i naprawdę nic konkretnego nie można było zobaczyć. W pewnym momencie mama krzyknęła, odsunęła się od okna i zawołała: „To w ten dom obok uderzyło, to pod dwudziesty dziewiąty”. Słyszę jęki i wołania o pomoc. W naszym domu zawrzało. Kto żyw nakładał coś na siebie i biegł nieść pomoc sąsiadom. Z wyjątkiem mnie. Ze mną w jednej chwili stało się coś straszego, ale nikt na mnie nie zwracał uwagi. Siedziałam w mieszkaniu z zatkanymi uszami, bo już wtedy był straszny zgiew i krzyk. Przyjechało wojsko. Oświetliło te gruzy wielkimi reflektorami i zaczęła się zorganizowana akcja pomocy. Przez te palące się całą noc reflektory u nas w mieszkaniu było prawie widno. Nie dochodziłam do okna. Nie chciałam się przekonać, że tego domu nie ma i że moich koleżanek i kolegów również może już nie być. Przecież na Boże Narodzenie miała się odbyć w Bazylice Szopka i prawie wszyscy mieliśmy brać w niej udział. Szykowaliśmy sobie stroje i próbowaliśmy teksty. Myślałam sobie, że to przecież niemożliwe, żeby jutro już ich nie było. A jednak tak się stało. Trzy nasze koleżanki, siostry, mieszkające na parterze, zginęły pod gruzami wraz ze swoją mamą. Tylko ich tata, który w tym czasie wyszedł do przedpokoju – ocalał.

Do naszego domu zaczęto przenosić rannych. Ja tak płakałam i krzyczałam, że nasze mieszkanie ominięto. Zresztą lokowano ich głównie na parterze. Wiem na pewno, że wtedy widoku kogoś znajomego, rannego – już bym nie zniosła. Jakaś tama się we mnie przerwała i już nic więcej nie byłam w stanie wytrzymać. Nie wychodziłam kilka dni z domu. Nie dochodziłam do okna. Teraz mama miała ze mną duży kłopot. Wszystko o tej tragedii wiem tylko z relacji moich bliskich i osób do nas

przychodzących. Okazało się, że na trzydzieści kilka lokali pod gruzami zginęło 16 osób, a 52 były ciężko ranne. Kilku osób niestety nie odnaleziono. Była to straszna masakra. Gdyby ten pocisk trafił w dom, to zburzone byłyby obydwie budynki, ale on trafił pod dom, wobec czego ten budynek oddzielił się od naszego i cały się obsunął. Ponadto stało się to w nocy, kiedy wszyscy byli w mieszkaniach i spali. Bez urazu chyba nie został nikt, bo ocalili tylko ci, którzy spadli wraz z murami na dół. Na przykład z drugiego piętra matka spadła na dół, a łóżeczko z małym dzieckiem zsunęło się po zawałonej podłodze i zatrzymało jedną nogą na murze. Dziecko, chłopczyk zsunął się w jeden róg łóżeczka i nie wypadł. Na szczęście również nie obudził się i nie wykonywał żadnych ruchów. W takim stanie żołnierze zdjęli to łóżeczko i oddali dziecko półprzytomnej matce. Młode małżeństwo na którymś z wyższych pięter przestało całą noc na wąskim występie podłogi, zasłonięte przez olbrzymi kawał muru, wiszący na zbrojeniach. Nie chcieli w nocy dawać żadnych znaków, w obawie przed jakimkolwiek poruszeniem, które mogło spowodować zawalenie się muru. Dopiero rano zaczęli prosić o pomoc i żołnierze ich uratowali. A w nocy było kilkanaście stopni mrozu. Ojciec tych zasypanych razem z mamą dziewczynek długie godziny pracował wraz z innymi, aby dotrzeć do swojego mieszkania. Był pełen siły i energii. Kiedy jednak znaleziono już tam same trupy, w jednym momencie stracił rozum. Zaczął mówić o rzeczy i to było straszne. Wojsko zajęło się zabitymi i rannymi. W gruzach niestety pozostały różne części ludzkich ciał. To było nasze najsmutniejsze, wojenne Boże Narodzenie. Dotąd Rodzice, dokonując nadludzkich wysiłków, zapewniali nam zawsze jakieś minimum obchodów tych uroczystości. Była choinka, opłatek, coś tradycyjnego do jedzenia i bardzo skromniutkie prezenciki. W tym roku nie było naprawdę nic, a w dodatku nie było świątecznego nastroju. Poza wszystkimi innymi troskami, za mało czasu upłynęło od tragedii naszych sąsiadów. Panowało ogólne przygnębienie. Lucynka się jakoś postarała o choinkę, a mama usmażyła na wieczerzę wigilijną placków kartoflanych. Zanim usiadłyśmy do stołu, usłyszałyśmy pod oknami rozpaczliwe wołanie Jurka – Lucynka, Lucynka. Stał pod domem bardzo wystraszony. Kiedy Lucynka doszła do okna, biegiem przyleciał na nasze drugie piętro i opowiedział dlaczego był taki zaniepokojony. Otóż idąc od wiaduktu kolejowego po śniegu i po ciemku, zobaczył tylko olbrzymie zwały gruzów. Myślał, że obydwie domy zostały rozbite. A Lucynkę wołał dlatego, że cały czas jak biegł to Ją wołał. Chciał wcześniej zobaczyć, że Ona żyje. Jurek był wyjątkowo pogodnym i dowcipnym chłopakiem. Idąc z frontem, na co dzień widział dramaty. Trochę się już z tym „otrząsał”. Potrafił zatem delikatnie i nasze nastroje zmienić na lepsze. Bardzo nam w tę smutną Wgilię pomógł i dobrze, że z nami był.

Pamiętam, że kiedy już musiałam wychodzić po wodę, do odległej pompy, zasłaniałam sobie oczy, żeby nie patrzeć na te gruzu. Pozostała z tamtego domu tylko jedna przyjaciółka, której tata miał sklep na rogu i ten parterowy róg ocalał. Jak zaczęłam podchodzić do okna i przyglądać się temu rumowisku zauważyłam, że na gruzach było szaro od szczurów. Oczywiście poprzehodziły one również do naszych piwnic. Idąc do piwnicy należało tupać nogami i wówczas się rozbiegały, ustępując drogi ludziom. Ale nie zawsze ustępowały.

Mama kupiła troszkę kartofli i pozostawiła je w piwnicy. Któregoś dnia nie było nikogo starszego i ja poszłam po te kartofle. Wzięłam świeczkę, zapalki, klucze, tupałam nogami i otworzyłam naszą piwnicę. Więcej niż połowę, zajmował potężny piec do wędzenia wędlin, który sąsiedzi postawili tu za naszą zgodą. Obok na ziemi były kartofle. Na tej małej kupce siedział wielki szczur. Próbowałam wystraszyć go tupaniem, ale on na to nie reagował. Wzięłam stojący pod ścianą kawałek patyka i chciałam go zgonić z kartofli. Patyk był dość krótki i musiałam się nachylić. Wówczas szczur, będąc blisko mnie, skoczył mi na piersi, tuż koło szyi. Na szczęście byłam dość grubo ubrana i miałam wełniany sweterek, zapinany pod samą szyję, na którym przez moment zawisł. Do tej pory pamiętam ten mój strach i wielkie obrzydzenie. W ułamku sekundy złapałam go za ten wstrętny, długi ogon, oderwałam od sweterka i cisnęłam go z rozmachem. Następnie, zostawiając otwartą piwnicę i zapaloną świecę z płaczem pobiegłam do domu. Sweterek oczywiście był podarty z przodu, ale ja miałam tylko lekkie zadrapania. Aż strach pomyśleć co by było, gdyby mi skoczył troszkę wyżej, na twarz. Kiedy się trochę uspokoiłam, zeszyliśmy razem z mamą. Uzbrojona była w jakiś drąg. Twierdziła, że szczura i tak nie da się zabić, ale może da się go odgonić od tych ciężko zdobytych kartofli. Kiedy zeszyliśmy, świeczka już prawie dogasała, a koło pieca leżał wielki jak kot, nieżywy już szczur. Wszyscy przychodzili później oglądać, jak ja, taka nieduża, drobna istota, mogłam zabić szczura. Otóż udało mi się to tylko dlatego, że kiedy go z rozmachem odrywałam od siebie, uderzyłam prawdopodobnie dość mocno jego głową o kant pieca. Ja jednak nie byłam z siebie dumna, a raczej ciężko wystraszona. Nie wiem nawet czy potem jeszcze chodziłam sama do piwnicy.

Napisałam o tym szczurze, ponieważ to zwierzę również kojarzy mi się z wojną. Nigdy później, na szczęście, szczura nie widziałam. Bardzo żał mi było sweterka. Taki był ładny, zrobiłam go sobie sama. Ogromnie ciężko było w tym czasie z ubraniem. Co miałyśmy, to się wycierało, rosłyśmy, a nie było za co kupować nowych rzeczy. Nie mogłam temu szczurowi tego darować.

Były też już na szczęście jaśniejsze promyczki. Powstawało dużo piosenek o Warszawie. W moim muzycznym domu ciągle śpiewałyśmy pieśni i piosenki o Powstaniu Warszawskim i takie jak:

„Walczyk Warszawy”, „Piosenka o mojej Warszawie”, „Pierwszy sierpień” itd. Piosenki te, tak jak zakazane piosenki w czasie okupacji podtrzymywały na duchu. Pozwalały przetrwać te ciężkie dni.

17 stycznia jako dzień wyzwolenia Warszawy nie zaznaczył się w moim życiorysie niczym nadzwyczajnym. Ogromne rzesze ludzi próbowały dostać się na drugi brzeg Wisły. Żołnierze zbudowali most pontonowy, łączący oba brzegi. Tego dnia był potężny mróz. Ludzie próbowali przejść nawet po krach zamrożonej rzeki. Niestety tego dnia było też sporo wypadków utonięć. Większość usiłowała się tam dostać, żeby sprawdzić co dzieje się z rodzinami. Było to bardzo trudne, bowiem w Warszawie zostały tylko niedobitki. Przecież Niemcy po Powstaniu wywieźli z miasta wszystkich, zarówno Powstańców, jak i ludność cywilną. Trudno było liczyć na to, że kogoś ze swoich się spotka.

Niestety, część osób przedostających się za Wisłę, byli to po prostu szabrownicy, którzy ograbiali zburzone domy. Zabierali wszystko, czego jeszcze nie zdążyli zrabować Niemcy. My w ogóle nie wybierałyśmy się do Warszawy. Wiedziałyśmy, że na razie i tak nie dowiemy się niczego o rodzinie. Trzeba było cierpliwie czekać na powrót taty i wiadomości o reszcie. Z naszej strony Wisły stolica wyglądała tragicznie. Byłam przekonana, że nie został tam cały żaden dom. Czasem, kiedy patrzyłam na to pobojuwisko, przestawałam wierzyć, że jeszcze spotkamy się z tatą. Nikomu o tym nie mówiłam, ale płakałam i gorąco modliłam się, żeby wrócił. Dlatego podziwiałam moją cioteczną siostrę Henrykę. Henia była córką mojego Wujka, brata mamy, mieszkającego blisko nas przy ul. Siedleckiej. Była o dwa lata starsza od Lucynki i w 1943 roku wyszła już za mąż. Oczywiście w 1944 roku Roman, Jej mąż, poszedł walczyć w Powstaniu Warszawskim. Ona w tym roku urodziła córkę. Przez jeden moment, w żadnej rozmowie, nie zachwiała się Jej wiara w to, że mąż wróci. Właściwie o tym w ogóle nie rozmawiała. Mówiła o nim tak, jakby wyszedł np. do sklepu i z całą pewnością wkrótce wróci. Słyszałam od Niej tylko takie sformułowania: „...jak już Marek będzie to..” lub „z tym muszę poczekać na Marka” itp. Ta Jej miłość i wielka wiara, ocaliły go i oczywiście jako jeden z pierwszych wrócił do domu.

Ja byłam za mała, nie umiałam tak bezgranicznie wierzyć w powrót taty. Na szczęście On również wrócił, ale dopiero w lutym 1945 roku. Jako cywil przeszedł przez obóz pruszkowski i wylądował aż w podkrakowskiej wsi. Wyzwolenie tych terenów nastąpiło nieco później, a i podróż do Warszawy była bardzo uciążliwa. Część drogi przejechał pociągiem, a część przeszedł pieszo. Pamiętam jak tata się cieszył, że zarobił sporo pieniędzy, które przywiózł, ale u nas mógł sobie nimi tylko wytapetować ściany. U nas już były w obiegu wyłącznie tak zwane lubelskie pieniądze. Dla ojca to znów był cios. I tak, ten mój biedny ojciec, znów przegrywał ze straszną wojną.

Tata mój nie cieszył się tym, jak to nazywał „wybuchem wolności”. Uważał, że jest to przypadkowe zwycięstwo. Że Polska zapłaci za to najwyższą cenę i znów pozbawiona zostanie wolności – tym razem pewnie na dłużej. Były to niestety wizje prorocze, albo zwykłe przemyślenia dorosłego człowieka. Tata znał Sowietów, walczył z nimi. Nie miał do nich za grosz zaufania. Ja tego słuchałam, wierzyłam Tacie, ale rozsadzała mnie radość, że nie ma już Niemców i że nikt nie strzela. Wydawało mi się to najważniejsze.

Pierwsza z nas do Warszawy wybrała się Lucynka. Był to chyba marzec, ale brzydki i zimny. Wróciła roztrzęsiona, nawet w sposób dosłowny, bowiem ten pontonowy most pod ciężarem przechodniów po prostu się trząsł i bujał. Nie spotkała oczywiście nikogo, niczego się nie dowiedziała i była przygnębiona rozmiarami klęski. Według Jej relacji Warszawa cała leżała w gruzach. Znów panował ogólny smutek.

W październiku 1944 roku skończyłam czternaście lat. Byłam więc taką bardzo młodziutką panieneczką. Każdy wiek ma swoje prawa. Zamiast się zamartwiać o pryncypia, ja martwiłam się głównie tym, że nie miałam się w co ładnie ubrać. Na szczęście wyrosłam na tyle, że odzież mojej Cioci, jeszcze jednej siostry mamy mieszkającej na Grochowie, zaczęły na mnie pasować. Ciocia jak na osobę dorosłą była nieduża. Dostałam zatem od Niej trzy ładne sukienki, pantofelki i co wspominać najczulej – bardzo ładny, niebieski płaszcz. Ubrania te wymagały bardzo niewielkiej korekty, żeby je na mnie dopasować. Ogromnie się z tego cieszyłam. Ubierałam się czasem tylko po to, żeby przejść się pełnymi w tym czasie na Pradze ulicami. Zdawało mi się, że wszyscy się na mnie patrzą. Pierwszy raz w życiu słuchałam komplementów na swój temat. Robiłam sobie różne modne czapeczki i szaliki z wełny. Nie, ja nie byłam próżna. Odwrotnie – ja byłam bardzo nieśmiała i dlatego tak mnie to cieszyło. Ponadto płaszczkiem tym mogłam przykryć inne niedostatki mojego codziennego stroju.

Właśnie wtedy, kiedy w takim euforycznym nastroju szłam sobie ulicą Radzymińską, wyszli z bramy dwaj żołnierze radzieccy i jeden chciał mi koniecznie mój płaszcz zabrać. Dobiegł do mnie i krzycząc – „dawaj”, zaczął szarpać mnie za płaszcz. Ja kurczowo go trzymałam i krzyczałam. Zatrzymało się kilka osób, ale najwyraźniej nikt nie chciał z „sojusznikiem” zadzierać. Szarpałam się z nim, choć siły były nierówne. Nawet jakieś panie zaczęły krzyczeć na niego, ale on w ogóle nie zwracał na to uwagi. Dopiero jakiś starszy, dość potężny pan, dobiegł do nas i zaczął mnie wyplątywać z jego łap. Ja trzymałam płaszcz bardzo mocno, on również. Kiedy się usiłowałam wyszarpnąć, nagle rozdarł się do samej pachy. Mój obrońca odepchnął żołnierza, który jak się okazało nie był trzeźwy i puścił mu taką „wiązanek”, że gdyby znał język polski to uszy by mu zwiedły. Wtedy już wszyscy głośno krzyczeli i żołnierze uciekli w inną stronę. Ja biegłam do domu zapłakana i zmęczona. Rodzice bardzo się wys-

traszyli na mój widok. Kiedy opowiedziałam z płaczem co się stało i oddałam mamie rozdarty płaszcz, tata powiedział – „widzisz córeńko, mówiłem ci. Jeszcze nie to nas od nich spotka”. Mama zaś, chcąc mnie pocieszyć, stwierdziła, że tylko szew nie wytrzymał tej szarpaniny i po zaszyciu płaszcz będzie jak nowy. Uspokoilo mnie to zupełnie. Jest to przywilej młodości, taka bez troska.

Wszyscy dorośli chodzili już po kilka razy do Warszawy. Chcieli się dowiedzieć o losy rodziny – Cioci Anieli, która mieszkała na Smoczej i Wujka Edwarda, mieszkającego na Mazowieckiej. Przecież u Nich przebywaliśmy w 1939 roku, bo te domy były rzekomo mocne i bezpieczne. Teraz obydwa leżały w gruzach, a nasz „domek z kart” stoi do dzisiaj. Ciocia z Rodziną osiedliła się w końcu w Bytomiu, a Wujek w Łodzi. Do końca życia nie mogli się pogodzić z tym, że musieli opuścić swoją Warszawę.

Ja za Wisłę wybrałam się dopiero w jakiś wiosenny dzień. Bałam się iść wcześniej. Wiedziałam, że zburzę piękny obraz warszawskiego śródmieścia, który nosiłam w swoich oczach. Na szczęście Aleje Jerozolimskie i Marszałkowska były już z grubsza uprzątnięte. Na parterach domów, nawet jeśli nie było górnych pięter, powstawały różne kawiarnie, prowizoryczne restauracje i panował ten niepowtarzalny, warszawski ruch. A na ulicach autentycznie słyszało się „do herbaty, do herbaty, do świeżego ciasta”. Widać już było, że Warszawa jest nieujarzmiona i na pewno wróci do życia.

Zakończenie wojny zbiegło się z imieninami taty. Siedzieliśmy przy herbacie, kiedy poderwał nas huk armat. Wszystkie drzwi się otworzyły i patrzyliśmy przestraszeni. Ale nasz najlepiej poinformowany „Pan Minister”, który zresztą mieszkał na naszym piętrze, ogłosił, że Niemcy podpisały kapitulację i wojna się skończyła. To była dobra wiadomość. Cieszyliśmy się, że Hitler, który chciał zawojować cały świat – przegrał. Entuzjazm jednak był średni. Dorośli ludzie, to jednak pokolenie, które przeżyło pierwszą wojnę i zabór rosyjski. Przez te kilka miesięcy, od wyzwolenia Pragi, zorientowali się już kto u nas w Polsce rządzi. Wiedzieli, że Polska na razie nie będzie ani wolna ani suwerenna. Natomiast my, dzieci, nie wiedziałyśmy jeszcze co nas czeka i szczerze cieszyliśmy się, że ta wstrętna wojna się skończyła.